R.

Co mówią nam wybory?

Przykra to bardzo rzecz pisać o wyniku ostatnich wyborów do naszych ciał ustawodawczych. Odsłoniły bowiem te wybory smutny obraz naszego społeczeństwa. Nie mieliśmy wprawdzie wielkich złudzeń co do pomyślnego ich wyniku. Pisząc w styczniowym numerze niniejszego czasopisma na temat „Chrześcijański ruch społeczny a wybory", stwierdziliśmy, że horoskopy nie są najlepsze, że nastroje szerokich kół naszego społeczeństwa uległy znacznemu pogorszeniu i że radykalizm zyskał niewątpliwie na sile i wzięciu. Nie liczyliśmy się jednak z tak złym wynikiem wyborów. Wypadły one o wiele gorzej, niżeśmy przypuszczali.

Inne uczucia władają nami teraz niż przed 5 laty, gdyśmy w artykule „Rozważania powyborcze społecznika", umieszczonym także w „Przewodniku Społecznym" (rocz. IV str. 65 i nast.), oceniali wynik wyborów z grudnia 1922. Cieszyliśmy się tedy, że nie bardzo usprawiedliwione były poglądy pesymistów, jakoby w następstwie wojny lud był już zupełnie zdemoralizowany, przesiąknięty w swej całości najjaskrawszym materjalizmem, nieczuły wobec idealnych haseł. I mogliśmy skonstatować, że szerokie koła ludu umiały się oprzec najwstrętniejszej demagogji, apelującej do jego namiętności, uczącej go bezwzględnego, klasowego samolubstwa, że wobec tych korzyści materjalnych, któremi je nęcono, stawiły one wyżej dobro Kościoła i państwa i wypowiedziały się przeciwko tym, co to dobro nie bardzo zabezpieczać się zdawali. Jakkolwiek więc wtedy musieliśmy przyznać, że partje społeczno-radykalne znalazły w niższych warstwach społeczeństwa silne poparcie, to jednak z ogólnego wyniku ówczesnych wyborów mogliśmy być zupełnie zadowoleni.

Tymczasem obecne wybory nasuwają tylko smutne refleksje. Przyniosły one — należy to otwarcie wyznać — triumf stronnictwom radykalnym, odnoszącym się wrogo do Kościoła i wyznającym zasady społeczno-gospodarcze, jakie musi odrzucać katolicka nauka społeczna; także z stanowiska

państwowego możnaby wiele tym stronnictwom zarzucić. O tym triumfie świadczą bardzo wyraźnie liczby głosów, jakie uzyskały stronnictwa t. zw. polskiej lewicy — mamy tu naturalnie na uwadze tylko polskie stronnictwa. Na P. P. S. padło bowiem podczas wyborów sejmowych według oficjalnej statystyki Głównego Urzędu Statystycznego 1 481 279 głosów, na „Wyzwolenie" 834 448, na Stronnictwo Chłopskie 618 503, na Związek Chłopski (Jana Stapińskiego) 135 276, Chłopskie Stronnictwo Radykalne (Okonia) 44 560, na komunistów 217 298. Do tego dochodzą jeszcze głosy oddane na lokalne listy komunizujące. Blisko więc trzy i pół miljona głosów oddali polscy wyborcy na listy lewicowo-radykalne. Zważyć przytem trzeba, że oprócz tego znaczna liczba głosów padła na nieważne listy lewicowe, jak to miało przeważnie miejsce odnośnie do list komunizujących. A wynik ten, już tak bardzo zatrważający, byłby niechybnie jeszcze gorszy, gdyby nie odciągnęła lewicy licznych głosów „jedynka". W porównaniu z r. 1922 zyskała P. P. S. przeszło 580 000 głosów, Wyzwolenie wraz z Stronnictwem Chłopskiem (w r. 1922 Stronnictwo Chłopskie jeszcze nie istniało), blisko 500 000, komuniści i komunizujący przeszło 410 000. W następstwie tego powiększyła P. P. S. listy swych mandatów poselskich z 41 na 63 a więc o przeszło 50%, Wyzwolenie uzyskało samo już 36 mandatów. Stronnictwo Chłopskie 25, Związek Chłopski 3, Radykalne Stronnictwo Chłopskie 1, komuniści 5. Z polskich więc mandatów zdobyły te wszystkie lewicowo-radykalne stronnictwa mniej więcej 37%. Wybory do senatu dały nie wiele lepsze rezultaty.

Ten cyfrowy obraz wyniku wyborów wykazuje, że przeszło ¹/₃ ludności p o l s k i e j wypowiedziała się za lewicą i wywrotowcami. O wiele gorzej przedstawia się jeszcze ten stan, jeżeli zbadamy dokładnie, w jakim stosunku rozkładają się głosy, oddane na ten obóz, na poszczególne warstwy społeczne. Wykazuje się bowiem, że polska ludność robotnicza i włościańska na wielkich połaciach kraju prawie całkowicie głosowała na listy lewicowe. W województwach centralnych t. j. łódzkiem, warszawskiem, lubelskiem, i kieleckiem zdobyli socjaliści, komuniści i lewica chłopska około 70% mandatów. Odliczając głosy ludności mieszczańskiej i mniejszości narodowych, musimy stwierdzić, że robotnicy i włościanie na tym terenie niemal wszyscy opowiedzieli się za lewicą. Są takie okręgi jak zamojski, sandomierski, gdzie lewica uzyskała wszystkie mandaty. Szczególnie źle wygląda pod tym względem w województwie lubelskiem. W Krakowskiem zaś ogół ludności robotniczej głosował na socjalistów. Wogóle może P. P. S. poszczycić się nadzwyczajnem powodzeniem przy wyborach. Co zaś jest przytem najznamienniejszem, to jej

zdobycze na wsi. Zrobiła ona tam od wyborów w r. 1922 największe swe postępy i przeważną część nowych mandatów otrzymała właśnie od ludności wiejskiej. W województwie warszawskiem uzyskała obecnie 216 tysięcy głosów, gdy w r. 1922 tylko 120 tysięcy, w województwie łódzkiem (bez miasta) 154 tysięcy, a w r. 1922 ledwo 27 tysięcy, w okręgu włocławskiem wzrosła liczba głosów socjalistycznych z 20 tysięcy na 50 tysięcy. Bardzo przykrym jest też i ten objaw, że Poznańskie i Pomorze przestały być dla socjalistów fortecą niezdobytą. Uzyskali oni w Poznańskiem 2 mandaty i to oba w okręgu bydgoskim i byliby zdobyli w okręgu gnieźnieńskim jeszcze trzeci, gdyby ich lista nie była unieważniona, na Pomorzu zaś otrzymali 1 mandat. Mandaty te zawdzięczają oni mniej robotnikowi miejskiemu niż robotnikowi rolnemu. Ten wielki ich sukces na tym terenie uwidoczniają jeszcze więcej liczby głosów, jakie tam na nich padły. Otrzymali oni w tych wyborach 144 395 głosów, gdy w r. 1922 tylko 16 120. W niektórych okręgach jest ten przyrost głosów socjalistycznych nadzwyczajnie wielki. W gnieźnieńskim okręgu wzrosły one z 3 142 na 26 000, w ostrowskim z 673 na 13 136, w bydgoskim z 5 789 na 34 095, jest to największa liczba głosów oddana w tym okręgu na listę, w tczewskim z 1 885 na 12 553, w grudziądzkim z 1 659 na 18 220, w toruńskim nie było w r. 1922 wogóle żadnej listy socjalistycznej, teraz zaś padło na nią przeszło 23 000 głosów. Zastanawiającem jest też powodzenie komunizujących niezależnych socjalistów w niektórych poznańskich okręgach; w mieście Poznaniu otrzymali oni 11 946 głosów, w okręgu bydgoskim 7 636.

Jeżeli zaś, pisząc w wspomnianym artykule o wyniku wyborów w r. 1922, mogliśmy wyrazić uznanie robotnikowi miejskiemu, że w wielkiej swej części okazał się opornym wobec agitacji klasowej, to obecnie niestety musimy zanotować, że w większych ośrodkach przemysłowych przeważnie już komuniści wzgl. komunizujący cieszyil się jego poparciem. Na tychże korzyść stracili socjaliści mandaty w Warszawie i Zagłębiu Dąbrowskiem.

Zatrważający więc obraz ludu naszego ukazały nam marcowe wybory. Upomnienia i przestrogi listu biskupiego puścił on mimo uszu, religijne względy nie odgrywały przy jego decyzji naogół najmniejszej roli tak że tu i owdzie agitatorzy lewicowi ośmielali się nawet zaciekle atakować Kościół i duchowieństwo, znajdując aplauz słuchaczy; poszedł on w wielkiej masie za tymi, którzy mu więcej doraźnych korzyści obiecywali i gwałttowniej umieli budzić jego pożadliwość.

Lecz nie piszemy tu o tem, by zawodzić tylko jakieś żałosne elegje i zatapiać się w smutnych rozważaniach nad tą orjentacją lewicowo-radykalną naszego ludu. Nas musi tu

głównie zajmować ta kwestja, jakie wnioski należy wyciągnąć z wyniku wyborów odnośnie do katolickiej akcji społecznej i jakie zadania stąd na nią spadają.

Otóż wybory wykazały — trzeba to otwarcie przyznać — całą słabość katolickiej akcji społecznej w Polsce.

Powracamy tu jeszcze raz do wymienionego artykułu „Rozważania powyborcze społecznika". Pisaliśmy wtedy, że jeżeli nie wykorzystamy tych 5 lat, jakie nas dzielą od następnych wyborów, do rozbudowy i pogłębienia katolickiej akcji społecznej, przedewszystkiem w dziedzinie pracy nad podniesieniem poziomu umysłowego naszego ludu, wtedy ujrzymy go przy następnych wyborach na głębszych jeszcze nizinach moralnych.

Przewidywania te spełniły się niestety całkowicie.

Są tacy, co właśnie na podstawie wyniku wyborów wytaczają oskarżenia przeciw katolickiej akcji społecznej, że zawiodła ona zupełnie, że nie wydaje tych owoców, jakie przynosić powinna, że okazuje się jako rzecz mało pożyteczna. Wnioskują z tego, że szkoda na nią czasu i sił, że należy ją zlikwidować itd. Tymczasem przeoczają oni to, że o katolickiej akcji społecznej wprawdzie u nas dość wiele mówiono, lecz mało nią się zajmowano w praktyce. Bije ona jeszcze wciąż u nas bardzo słabem tempem. Od czasu wyborów w r. 1922 nietylko nie podniosła się, lecz, poza wyjątkiem organizacji młodzieży, która rzeczywiście rozwija się nieomal wszędzie doskonale, i poza jedną lub drugą diecezją, posiadającą tradycję dawnej pracy, jeszcze się cofnęła. Jakiż bowiem obraz przedstawia obecnie chrześcijański ruch robotniczy? Oświatowe organizacje robotnicze posiada jeszcze tylko kilka diecezyj, a i w niektórych z tychże dawają one ledwo oznaki życia. Co zaś do chrześcijańskich związków zawodowych, to stan ich jest — wyznajemy otwarcie — naogół żałosny. Tracą one coraz więcej na znaczeniu, wpływach, zwolennikach. Prowadzone są często najniedołężniej — miały one nieraz nawet kierowników, którzy wprost kompromitowali cały chrześcijański ruch robotniczy. Setki tych placówek znikły, dziesiątki tysięcy członków odpadły. Mimo dziesięcioletniego już niemal istnienia chrześcijańskiego ruchu zawodowego, mimo kilkakrotnych prób jego unifikacji, mimo ciągłych nawoływań do niej z różnych stron, nie posiada on dotąd jeszcze jednej, ogólnokrajowej centrali; kieruje nim aż 5 zupełnie samodzielnych central. Żal bierze, że ten ruch, który w początkach swych bardzo ładnie się zapowiadał, tak się — nie jest to zbyt ostre słowo — zmarnował. Zresztą i cała chrześcijańska akcja społeczna w pierwszych latach odrodzonej Polski wykazywała znaczny rozmach, który budził wielkie nadzieje. Organizacje zaś kobiece są jeszcze słabsze,

poza jedną diecezją tylko organizacje, skupiające kobiety z inteligencji, wykazują pewną żywotność. Wprawdzie w ostatnim czasie pod hasłem akcji katolickiej poczęto tworzyć Ligi Katolickie, obejmujące organizacje mężczyzn, kobiet oraz młodzieży męskiej i żeńskiej; są to jednak dopiero zaczątki tej akcji, i mamy zresztą poważne wątpliwości, czy przy swej dość luźnej formie organizacyjnej będzie ona mogła przynieść jakie wydatniejsze rezultaty.

Gdy tak katolicka akcja społeczna u nas coraz więcej upadała, wzmagała się robota obozu przeciwnego. Nie będziemy tu już pisali o budzących wprost mimowolny podziw wysiłkach komunistów, by owładnąć duszą ludu, ze względu na konspiracyjny charakter ich działalności. Gdybyśmy choć tylko w dziesiątej części się tak wysilali, jak oni to robią, nad pozyskaniem szerokich warstw dla katolickich ideałów społecznych, nie mielibyśmy niebezpieczeństwa socjalistyczno-komunistycznego; przyznać tu jednak trzeba, że wywrotowa, negatywna robota jest o wiele łatwiejsza niż pozytywna. Zwracamy tu zaś szczególnie uwagę na robotę organizacyjną socjalistów, którzy takie wielkie sukcesy odnieśli; na te sukcesy — musimy to przyznać — zapracowali oni sobie rzetelnie. Ich klasowe związki zawodowe stały się liczbowo najsilniejszemi w Polsce, gdy jeszcze przed 5 laty Zjednoczenie Zawodowe Polskie — które, mówiąc tu nawiasem, nierozważną swą polityką, zmarnowało wielki kapitał — miało nad niem znaczną przewagę. I oddać im trzeba, że okazują one wielką ruchliwość. Organizacja ich jest najsprawniejsza i najwięcej celowo prowadzona w stosunku do innych zrzeszeń zawodowych. To też wypierają one coraz więcej placówek chrześcijańskich związków zawodowych i Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. Jak szkodliwe są tego następstwa, wykazują dobitnie ten fakt, że w Poznańskiem i na Pomorzu uzyskali socjaliści tylko tam znaczniejszą liczbę głosów, gdzie klasowe związki zawodowe zdołały się silniej usadowić i zająć miejsce chrześcijańskich związków zawodowych oraz Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. Właśnie w okręgu wyborczym bydgoskim, gdzie socjaliści zdołali przeprowadzić dwóch posłów, i gnieźnieńskim, gdzie nie uzyskali oni mandatu tylko z powodu unieważnienia ich listy, umiały klasowe związki zawodowe pozyskać sobie na skutek niedołężnej akcji obu innych organizacyj bardzo wielu zwolenników, szczególnie wśród robotników rolnych. Gdzie więc klasowy związek zawodowy się pojawi, tam tworzą się zaraz kadry socjalistycznych wyborców. Najciekawsze jest jeszcze i to, że gdzie nawet na skutek energicznej kontrakcji duchowieństwa — jak to miało miejsce w powiecie inowrocławskim — udało się robotnika rolnego prze-

ważnie znów odciągnąć od tych klasowych związków, ta przynależność do nich zrobiła jednak swoje: dawniejsi ich członkowie głosowali przeważnie na listę socjalistyczną. Takie to wpływy może wywierać sprawnie prowadzona organizacja zawodowa. Bo też zabiegają bardzo socjaliści o podniesienie poziomu swej pracy. Przed dwoma np. laty urządziła Centralna Komisja Związków Zawodowych 10-tygodniowy kurs dla funkcjonarjuszy związkowych. Nic więc dziwnego, że tak przeszkoleni funkcjonarjusze mają przewagę nad swemi kolegami z innych organizacyj, które na taką robotę kształcącą się nie zdobyły. W Piotrkowie zaś utworzyli socjaliści coś w rodzaju szkoły partyjnej; w czasie przedwyborczym przemienili oni ją na szkołę wyborczą, kształcącą około 70 agitatorów w 32 godzinach. Wynik tego był ten, że potrojono ilość głosów socjalistycznych w stosunku do poprzednich wyborów i przeprowadzono w okręgu, który dotąd nigdy nie posiadał posła socjalistycznego, aż dwóch kandydatów. Wydatną robotą mogą się poszczycić socjaliści także na terenie Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Nie wiele mają oni jeszcze wprawdzie oddziałów T. U. R. i nie we wszystkich oddziałach prowadzi się pracę systematyczną i celową, lecz cały szereg oddziałów rozwija działalność bardzo żywotną i stojącą na wysokim poziomie.

W takich warunkach są nam sukcesy socjalistów zupełnie zrozumiałe. Stwierdza to samo też ks. H. Weryński w artykule, umieszczonym w Gazecie Kościelnej r. XXXV, nr. 15. p. t.: „Dlaczego na lewo?“, pisząc n. t. „Kto — jak piszący te refleksje — patrzył w środowisku robotniczem na robotę P. P. S. w czasie ostatnich wyborów, kto widział karność i dyscyplinę partyjną socjalistów, kto obserwował — powiedzmy szczerze — ich organizacyjny zapał, ten musiał snuć sobie bardzo smutne refleksje na temat braku solidnej organizacji u nas, porównując z naszą t. zw. organizacją — robotę z naprzeciwka...“

Doświadczenia więc wyborcze każą nam wziąć się ze wszystkich sił do tego, by skończyć z dotychczasowem partactwem i nieudolnością w dziedzinie katolickiej akcji społecznej. Sieć katolickich organizacyj winna coraz gęstszemi okami pokrywać cały nasz kraj; i nie możemy tam cierpieć u nich roboty, prowadzonej jakby od niechcenia — co tak często dotychczas miało miejsce — ladajakiej, unikającej wszelkiego większego wysiłku. Nie znaczy to, jakobyśmy uważali niedomagania naszej katolickiej akcji społecznej za jedyną lub najgłówniejszą przyczynę złego wyniku wyborów; na ten wynik złożyło się wiele przyczyn. Lecz z drugiej strony nie może ulegać wątpliwości, że klęska wyborcza nie byłaby tak wielką, gdyby katolicka akcja społeczna była u nas należycie

postawiona. To opóźnianie się ciąży zresztą jakby jakieś fatum nad katolikami; niedawno temu przypomniał „Głos Narodu“ słowa Montalemberta „Katolicy spóźniają się zawsze o jedną tylko rewolucję“.

O niezmiernem więc znaczeniu dla naszego kraju silnych katolickich organizacyj robotniczych, zarówno oświatowo-kulturalnych i zawodowych, uważamy za zbyteczne szerzej się tu rozwodzić. Zwracamy tu jednak jeszcze specjalnie uwagę na konieczność wydobycia z stanu dotychczasowej niemocy chrześcijańskich związków zawodowych, ujednolicenia i usprawnienia ich akcji; czego im zaś najwięcej potrzeba, to odpowiednio przygotowanych i wyszkolonych oraz ideowo wyrobionych kierowników. Należałoby też dążyć do połączenia chrześcijańskich związków zawodowych z Zjednoczeniem Zawodowem Polskiem, które zasadniczo pod względem ideowym nie wiele się różnią od nich i chce także wchodzić w skład chrześcijańskiego ruchu społecznego. Istnienie takich dwóch organizacyj obok siebie jest w rzeczy samej anomalją.

Poza tem trzeba koniecznie rozbudować Ligi Katolickie, by objąć niemi jak najszersze warstwy ludności, szczególnie zaś włościaństwo i nadać im możliwie ścisłą formę organizacyjną.

Nauka, jaką nam wybory przyniosły, każe nam nietylko rozszerzyć i pogłębić katolicką akcję społeczną, ale także w niejednem zmienić i ulepszyć jej metody.

Przedewszystkiem należy podjąć w naszych organizacjach pracę nad politycznem uświadomieniem ludu. Doświadczenie wykazało, że ten dawny system, któregośmy się trzymali, t. j. wykładania katolickich zasad społecznych oraz politycznych i ogólnikowego upominania, że należy tylko na tych głosować, którzy za temi zasadami się opowiadają, zupełnie zawiódł. Zdarzało się przecież nawet, że członkowie katolickich organizacyj głosowali na listy lewicowe, wyzwoleńców, socjalistów a nawet komunistów. Były to wprawdzie bardzo rzadkie wypadki, ale były. Ogólnikowe pouczenie o obowiązkach politycznych katolika nie wystarczy więc wcale. Trzeba mówić o rzeczach konkretnych. Nie należy więc ograniczać się do wykładania i tłumaczenia katolickich zasad, lecz trzeba wyjaśniać także, jak wyglądają te katolickie zasady w programach i praktyce stronnictw politycznych i klubów sejmowych. Trzeba nawet w pewnej mierze śledzić działalność naszych ciał ustawodawczych na tle tych zasad katolickich i podawać coś w rodzaju przeglądu tych prac, które mają znaczenie dla sprawy katolickiej, z specjalnem podkreślaniem antykatolickich występów poszczególnych stronnictw i posłów. Należy to zaś robić stale i syste-

matycznie, by członkowie organizacyj naszych orjentowali się, możliwie najdokładniej co do szkodliwej pod względem religijnym działalności pewnych stronnictw i posłów i mogli też sami informować o tem swe otoczenie. I nietylko sejm i senat winny być przedmiotem naszej uwagi, lecz wszelkie inne przejawy życia publicznego (np. w samorządach i t. p.) w których antykatolicki charakter niektórych ugrupowań politycznych i społecznych wyraźnie występuje. To uświadomienie polityczne winno być tak intensywne, by nie mogło być u członków naszych organizacyj wątpliwości, jak oceniać poszczególne stronnictwa pod względem ich ustosunkowania się do religji i Kościoła. Tę robotę należy prowadzić już w odpowiedniej formie w stowarzyszeniach młodzieży. Naturalnie nie może ona żadną miarą przybrać charakteru partyjno-politycznego, zmierzać do tego, by dla jakiejś specjalnej partji jednać zwolenników. Tak samo może ona odnosić się nieprzychylnie tylko do wyraźnie antykatolicko zabarwionych grup i osób.

Winniśmy dalej o wiele większą uwagę zwracać na kształcenie, przygotowanie sobie pewnej „elity". Rzecz ta była naogół u nas w zupełnem zaniedbaniu. A właśnie od takiej elity zależy w głównej mierze rozmach i powodzenie naszej akcji. Brak nam przecież w naszym katolickim ruchu społecznym głównie ludzi o typie agitatorskim, coby umieli w swem środowisku prowadzić propagandę żywą na naszą rzecz. Zato w przeciwnym obozie takich agitatorów jest pełno. Ponieważ nam trudniej z różnych względów o takich agitatorów gotowych niż tamtym, dlatego musimy dopomagać sobie dla wyrównania tego braku przez celowe kształcenie odpowiednich ludzi.

Konieczność rozszerzenia i pogłębienia katolickiej akcji społecznej oraz ulepszenie jej metod każą nam wogóle zająć się pilnie sprawą szkolenia pracowników dla naszych organizacyj. Jest to potrzeba paląca, warunek, możemy powiedzieć, nieodzowny powodzenia naszej akcji. Dlatego ma świeżo założona Katolicka Szkoła Społeczna w Poznaniu niezmiernie doniosłe znaczenie; czekają na nią bardzo rozległe pola pracy. I można mieć nawet wątpliwość, czy zdoła ona sama jedna podołać tym rozlicznym zadaniom, jakie na nią spadają.

Jedną z głównych bolączek naszych czasów to sprawa mieszkaniowa. Jest rzeczą pewną, że niedomagania pod względem mieszkaniowym popchnęły wielu wyborców, zwłaszcza w wielkich miastach, w objęcia radykalizmu; szczególnie komuniści wyszli na tem dobrze. To też powinien katolicki ruch społeczny zająć się i kwestją mieszkaniową, podejmując odpowiednią akcję ku jej złagodzeniu. W Niemczech utworzyły już katolickie zrzeszenia społeczne osobną organi-

zację „Verband Wohnungsbau“, mającą na celu budowę tanich mieszkań robotniczych i zbieranie potrzebnych na to funduszy. Episkopat niemiecki wydał nawet osobny list pasterski w sprawie mieszkaniowej, polecając w nim gorąco poparcie usiłowań tej organizacyj. U nas w Łodzi wystąpił ks. biskup Tymieniecki z chwalebną inicjatywą wybudowania szeregu domów robotniczych, i nie zwlekając długo, rozpoczął plan ten realizować. Przykład ten powinien znaleźć jak najszersze naśladownictwo. Nasze organizacje, zwłaszcza w większych miastach, winny wyłaniać z siebie osobne spółdzielnie budowlane; takim spółdzielniom obiecuje zaś państwo poważną pomoc.

Jeszcze pod jednym względem winna katolicka akcja społeczna się uzupełnić. Główną bowiem swą uwagę kierowała ona dotychczas na walkę z radykalizmem a może mniej zwracała się przeciw nadużyciom z strony pracodawców i kapitału. A te nadużycia napędziły dziesiątki tysięcy wyborców partjom lewicowym, jak to liczne przykłady wykazują. Z temi nadużyciami należy prowadzić znacznie ostrzejszą walkę, nie zważając na zarzuty demagogji i wichrzenia, jakie niewątpliwie się podniosą. Klasowe uprzedzenia może są silniejsze po stronie kapitału niż po stronie pracy. Tu i tam należy je zwalczać. Konieczna jest praca uświadamiająca nietylko odnośnie do warstw robotniczych, ludowych, ale nie w mniejszej mierze także odnośnie do warstw posiadających. Pod ostatnim względem robiono jednak dotychczas bardzo mało.

Tak przedstawiają nam się zadania katolickiej akcji społecznej po wyborach. Wymagają one od nas wielkiego mozołu i trudu, cierpliwości, wytrwałości, zabiegliwości i przezorności. Lecz nie może to nas odstraszać lub zniechęcać, jeżeli chodzi o tak wielkie rzeczy.

Dr. Andrzej Niesiołowski.

Cośniecoś o żeńskiej młodzieży rękodzielniczej.

Roztrząsając różne zagadnienia społeczne, mówimy zwykle najmniej o tem, co być powinno — o programach — poza tem o różnych środkach, wiodących do celu mniej lub więcej odległego; najmniej zajmujemy się samym p r z e d m i o t e m naszej działalności, tą konkretną, daną nam r z e c z y w i s t o ś c i ą s p o ł e c z n ą, której dokładna znajomość zawsze winna być podstawą wszelkiej akcji; bez tego można jedynie w ciemnościach brodzić, ale nie działać z pełną świadomością diagnozy i terapji. Wprawdzie ci, którzy

działają na poszczególnych polach pracy, orjentują się przecież w zasadniczych sprawach i znają swój teren — jak im się wydaje. Jest to jednak prawie zawsze znajomość, oparta na osobistych obserwacjach i odczuciach, które nieraz mogą być bardzo trafne i głębokie, ale przecież nigdy nie mogą nie być subjektywne, a zatem i przypadkowe. Czy jednak możemy wogóle wyjść poza tę subjektywność? Czy jest możliwą rzeczą objektywne zbadanie tak niezmiernie złożonych faktów jak środowisko społeczne? Mieliśmy już niegdyś sposobność na ten temat się zastanawiać — w związku z zagadnieniem technologji społecznej (por. „Przewodnik Społeczny" r. VIII, nr. 1, str. 17 i nast.). Tu zasadniczo chodzi o to samo pytanie — i odpowiedź będzie ta sama: trzeba wyodrębnić poszczególne zagadnienia — wtedy można je badać metodami naukowemi — i osięgnąć objektywne wyniki. Nie zastąpią one wprawdzie koniecznej działaczowi praktycznemu intuicji i zmysłu dla konkretnej rzeczywistości, ale umożliwią o wiele ściślejsze, nie tak przypadkowe uchwycenie danych nam faktów — a zatem i budowanie na nich swej działalności.

Wstęp ten był potrzebny dla uzasadnienia, dlaczego w piśmie, które jest poświęcone praktycznym zagadnieniom społecznym, zamieszczam te rozważania, jakby się zdawało, dosyć pozbawione praktycznego znaczenia. Tymczasem chodzi tu o rzeczy, które głębiej sięgającemu społecznikowi dostarczą materjałów do niejednej poważnej refleksji. Zarazem będzie to skromna próba metodycznego opracowania jednego z terenów pracy społecznej — żeńskiej młodzieży rękodzielniczej, narazie tylko z kilku punktów widzenia — i na wąskiej dosyć podstawie, ale w każdym razie w oparciu o konkretny materjał.

Wybór przedmiotu tych prób był podyktowany dwoma względami: najpierw praktycznie istniejącą stycznością, gdyż wykładając od dwóch lat w Żeńskiej Szkole Dokształcającej Przemysłowej w Poznaniu naukę obywatelską, miałem sposobność poznania tej młodzieży i przeprowadzenia pewnych badań, które — być może — będzie można rozbudować. Następnie skłonił mnie do tego fakt, że ta młodzież żeńska jest szczególnie upośledzona, o ile chodzi o jej stosunki społeczne.

Nim przejdę do omówienia szczegółowych badań niektórych zagadnień, chciałbym dać ogólną, szkicową narazie charakterystykę stosunków socjalnych między uczennicami zawodu krawieckiego i marszanckiego — a ich pracodawcami. Jak wiadomo, dziewczęta takie muszą przez trzy (krawcowe) względnie dwa lata (marszantki) być uczennicami w jakimś zakładzie, poczem dopiero składają egzamin cze-

ladniczy. Przez ten czas podlegają one przymusowemu dokształcaniu. Szkoły same niezawsze jednak są państwowe. Wymieniona szkoła w Poznaniu jest narazie jeszcze własnością Związku cechów krawieckich, który jednak szkołę tę naogół traktuje jako konieczne zło. Finanse opierają się oczywiście o subwencje państwowe, gdyż opłata 1 zł miesięcznie od uczennicy może najwyżej drobną część kosztów pokryć. Mistrzowie wzgl. mistrzynie patrzą naogół na uczennice jako na niezmiernie t a n i e s i ł y r o b o c z e, o których wyuczenie dba się tyle tylko, ile to leży w interesie zakładu. To też szkołę traktuje się naogół jedynie jako instytucję, która o d c i ą g a uczenice od warsztatu, i w razie „pilnej pracy" zatrzymuje się je bez skrupułów — tak że w okresie t. zw. „sezonów" trzeba poprostu szkołę zamykać. O przestrzeganiu ośmiogodzinnego dnia pracy naogół mowy niema, zwłaszcza w m a ł y c h warsztatach. Nieraz dziewczęta te muszą siedzieć 12—14 godzin... a za to otrzymują „pensję", która przeważnie wynosi w pierwszym roku 4 zł wyraźnie: c z t e r y z ł o t e m i e s i ę c z n i e, od czego potrąca się 1 zł na szkołę, w drugim roku 8 zł, w trzecim 12. Wyjątkowo płacą po 20 zł. To już jest „świetna" płaca. Gdy uczennica złoży egzamin, wtedy trzeba jej podwyższyć — więc wielu pracodawców wtedy woli ją w y d a l i ć i wziąć nową uczennicę, której znowu zacznie płacić 4 zł miesięcznie. Nie trzeba jednak sądzić, że taka czeladniczka zarabia jako tako — o ile szczęśliwie otrzymała posadę. Płace wynoszą 30 do 50 zł w pierwszych latach. Pewna samodzielna kierowniczka zakładu pobiera aż 130 zł miesięcznie. Nie można więc powiedzieć, że za przetrwanie czeka jakaś lepsza p e r s p e k t y w a. Jeżeli mimoto napływ jest duży, to poprostu dla nadmiaru podaży żeńskich sił roboczych. Toć uczennice te drżą na myśl o utracie „posady", przynoszącej 4 zł miesięcznie. Wogóle nie potrafią się one upominać o swoje prawa — są naogół potulne i bojaźliwe. Ich „Towarzystwo uczennic" absolutnie nie zaznacza swej działalności opiekuńczej.

Nie mam narazie materjałów dla oceny osobistego stosunku pracodawców do uczennic — zwłaszcza pracodawców rodzaju męskiego. Obawiam się jednak, że zajrzenie za kulisy odsłoniłoby i tu rzeczy niewesołe. Smutne wyniki da też z pewnością badania stanu zdrowia tych przyszłych matek, z których ogromna większość jest niedokrwistych, a wielki z pewnością odsetek gruźliczych. Czas najwyższy, ażeby te sprawy zostały uregulowane na drodze ustawodawczej. Społeczeństwo winno się zainteresować losem tych, które same obronić się nie potrafią. Oczywiście, że i wśród pracodawców nie braknie ludzi, brzydzących się wyzyskiwaniem słabych — a nawet ideowców, którzy pragnęliby jak-

najwięcej zrobić dla młodzieży rękodzielniczej. Ale są oni bezsilni wobec większości i — żelaznych praw popytu i konkurencji. Tu jedynie ingerencja ustawodawcza może zaradzić. Jest to teren, który w okresie bujnego rozrostu ustawodawstwa społecznego pozostał zapomnianym i zaniedbanym. Przedewszystkiem sprawa płac minimalnych i zwalniania po wyuczeniu oraz zatrzymywania „dla pilnej pracy" winna zostać uregulowaną. Poza tem inspektorat pracy winien przyjrzeć się bliżej panującym tu stosunkom. Trudno wprawdzie jest upilnować te liczne drobne przedsiębiorstwa, gdzie i osobista zależność częściowo jest wiele większa; ale i tu można urządzać niespodziewane odwiedziny. Z punktu widzenia pracobiorców wogóle byłaby tu pożądana koncentracja przedsiębiorstw, której oczywiście z innych względów znowu pragnąć nie podobno. W każdym razie czas jest największy, by opinja społeczna zainteresowała się temi stosunkami.

Przechodzę do omówienia niektórych ściślejszych danych, które uzyskałem zapomocą ankiety w sprawie używania napojów alkoholowych, przy której to zdobyło się jednak także szereg innych dalszych, które niejednego zainteresują.

Najpierw jednak kilka uwag krytycznych. Metoda ankiet ma tę trudność do zwalczania, że opiera się na wiarogodności odpowiedzi, która w różnych okolicznościach jest bardzo rozmaita, i dlatego zawsze winna być zbadaną. Z drugiej strony nawet sfałszowana odpowiedź świadczy nam o pewnym stanie umysłu — i o tyle może być czasem nawet wartościowym materjałem psychologicznym i socjologicznym. Jakie były pod tym względem ogólne warunki przeprowadzonej ankiety?

Wykluczyć trzeba — ze względu na anonimowość — naogół świadomą chęć przypodobania się nauczycielowi, choć mogła ona istnieć jako pewne zasadnicze nastawienie, często spotykane u dziewcząt. Większem niebezpieczeństwem było wrodzone dziewczętom wogóle — a dziewczętom z klas niższych — w szczególności lenistwo umysłowe i brak samodzielności. Przejawem tego jest fakt, że sąsiadki miały aż nazbyt często analogiczne odpowiedzi, czasem nawet tam, gdzie chodziło o fakty, a nie o poglądy. Na szczęście przeciwważyło tu inne nastawienie, mianowicie skłonność do uważania ankiety za pewną spowiedź, w której skrupulatność jest obowiązkiem sumienia. Czasem przejawiało się to wprost groteskowo, gdy np. jedna uczenica podała dokładną datę (świeżą jeszcze, więc zapamiętaną) wypicia pierwszego kieliszka wódki. Naogół uczenice, uświadomione odpowiednio, wzięły rzecz poważnie, z nielicznemi bardzo wyjątkami. Omyłki, popełnione z nieścisłości lub niepamięci naogół — przy uwzględnieniu dużej ilości odpowiedzi

(155 uczennic w 9 klasach) — znoszą się wzajemnie, i dlatego możemy uważać uzyskane cyfry za dosyć dokładne. Co do stanu rodziców — nie będziemy tu w szczegóły wchodzić — przeważa sfera rzemieślników i niższych funkcjonarjuszy; mniej nieco pochodzi z rodzin robotniczych, 3 były tylko córki rolników.

Wiek normalny to 17—19 lat — wyjątkowo 16 — a także 20 i więcej. Wykształcenie oczywiście szkoły powszechnej. Inteligencja przeważnie bardzo przeciętna. Przejawia się to szczególnie w niezdolności do odpowiadania dokładnie na postawione pytania.

(Dokończenie nastąpi.)

WYKŁADY I ODCZYTY.

J. Kączkowska.

O modlitwie.

„Przyjdź, Duchu Święty...“

(Wykład dla dziewcząt.)

Przenieśmy się dziś myślą, miłe druchny, o kilkanaście wieków wstecz.

Oto pełne trudu życie Chrystusa na ziemi dobiega końca. Zbliża się godzina wieczorna. Pan z gromadką swych uczniów wchodzi na szczyt góry, szukając wypoczynku, zdala od zgiełkliwej ciżby ludzkiej. I podczas gdy uczniowie odpoczywają, Jezus oddala się od nich, wchodzi wyżej, by modlić się w samotności. Oczy pozostałej gromadki zawisły na nieruchomej postaci Mistrza, który stoi w purpurowym blasku zachodzącego słońca, pogrążony w cichej modlitwie, zajęty poufną rozmową ze swym Ojcem. Słońce kryje się za odległe wzgórza, głębokie cienie nadchodzącej nocy wpełzają na zbocza gór. A Jezus modli się ciągle. Czas i otaczające Go przedmioty, zda się, przestały dla Niego istnieć, dusza Jego czuje tylko obecność niebieskiego Ojca. Rozmowy uczniów ścichły, zaległo milczenie. A spojrzenia ich ciągle biegną ku samotnej postaci modlącego się na szczycie Chrystusa. I zwolna budzi się w nich tęsknota. Może była ona w nich oddawna, ale teraz staje się coraz silniejsza, gwałtowniejsza — tęsknota za modlitwą. Tak pragnęliby nauczyć się modlić! Nie tak, jak to czynili dotąd, nie tak, jak modlili się dotychczasowi kapłani i wodzowie. Zapragnęli modlić się tak, jak modli się ich Mistrz. Tak się modlić, by dusza poczuła się całkiem bliską Boga, by Nim tylko do głębi przejętą była, by napełniła się czcią, ufnością i miłością...

Gdy wreszcie Jezus zstąpił ku nim, z pokorą prosić Go poczęli: „Panie, naucz nas modlitwy!“ Rozjaśniły się oczy Zbawiciela radością, ogarnął swą gromadkę wzrokiem dobrego Pasterza i wyrzekł uroczyście: „Gdy modlić się będziecie, mówcie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...“ — Wtedy to po raz pierwszy słowa modlitwy „Ojcze nasz“ popłynęły ku niebiosom.

Spojrzyjcie teraz, druchny, w wasze dusze. Czy obudziło się w was kiedykolwiek pragnienie, by nauczyć się dobrze modlić?

I czy umiecie modlić się dobrze. Bo wielu ludzi nie rozumie, co to znaczy modlitwa, czem jest ona w życiu.

Modlitwa to wzniesienie się z głębiny ku światłu szczytów; to przejście z wrzawy ziemskiego życia ku Boskiemu pokojowi; to spoczynek w ramionach Boga po spełnionych obowiązkach; to nabranie sił do nowego czynu; narada z wszystko rozumiejącym Przyjacielem; to prośba dziecka o błogosławieństwo ojcowskie na przyszłą walkę; to głębokie uznanie: jak wielki, jak dobry jesteś, Boże!

Mało zdajemy sobie sprawę, jak bardzo potrzebna jest nam modlitwa. Modlitwa jest oddechem duszy; gdy zbraknie oddechu, milknie i serce. Modlitwa jest nam tak konieczną, jak pożywienie i napój. Bo i cóż zrobić możemy sami, bez pomocy Wszechmogącego? Człowiek sieje, sadzi, uprawia, zabiega, ale Bóg tylko daje plon. Sił dla osiągnięcia naszych celów szukać musimy w górze. Dopiero wtedy, gdy uświadomimy sobie jasno, że nasz byt i działanie w ręku Boga spoczywa; że bez Niego nie potrafimy niczego dokonać; że nasze życie na ziemi tylko o tyle ma wartość, o ile bliski jest nasz związek ze Stwórcą — dopiero wtedy zrozumiemy znaczenie modlitwy, która jest pomostem między ziemią i niebem, drogą, po której spływa na nas łaska, wspierająca naszą słabość i niemoc.

Modlitwa jest też obowiązkiem. Bóg chce, aby uwielbiająca, dziękczynna i błagalna modlitwa rozumnej i wolnej duszy ludzkiej brzmiała jako najpiękniejszy i najwznioślejszy akord w hymnie, jaki śpiewa swemu Stwórcy wszystko, co przez Niego zostało stworzone.

Ale co tu mówić o modlitwie jako o obowiązku! Wszak to dla nas wielka łaska, dobrodziejstwo, że możemy się modlić, że nam wolno się modlić.

Oto możemy ustawicznie zwracać się do Tego, który jest niedoścignionym majestatem; ciągle wolno nam pukać do drzwi, za któremi kryje się wieczne życie; przychodzimy do Boga nie jak sługi do pana, lecz jak dzieci do swego ukochanego Ojca. Jakże smutne i ponure byłoby nasze życie, gdybyśmy musieli tak daleko być od Boga, że głos nasz nie dochodziłby do Niego! Jak rozpaczliwie samotni i bezsilni bylibyśmy nieraz! Bo niewątpliwie każda z was, druchny kochane, miała lub mieć będzie w życiu swem niejedną chwilę, gdy pozna nietrwałość wszelkich ludzkich uczuć miłości i przyjaźni, gdy zrozumie, jak małą wartość ma to wszystko, co się na ziemi zdobywa i traci. — Wówczas całą duszą pomknie ku Bogu, który nigdy nie zawodzi, zawsze jest wierny i zawsze pomocny temu, kto Mu zaufa.

Dzisiejsi ludzie zbyt przywykli oceniać każdą swą czynność według zewnętrznej, widocznej korzyści. Dlatego często trudno ocenić im wartość i znaczenie modlitwy. Niejeden uważa to nawet za stratę czasu. Tymczasem jest przeciwnie: modlitwa to nagromadzenie duchowej energji, ochronnych i żywotnych sił. Wielcy

działacze religijni byli zawsze ludźmi, którzy umieli się modlić. Nieraz lata całe spędzali w odosobnieniu, milcząc i modląc się. Potem wracali do świata, by zmienić coś w obliczu ziemi. Działanie łaski Bożej jest głęboko tajemnicze. Nie możemy dojrzeć tych strumieni łaski, które przepływają ponad ludźmi. Gdybyśmy je mogli widzieć, odnaleźlibyśmy ukryte źródła, skąd wypływają. — Oto płynie w świat cicha modlitwa z za kraty klasztoru, z łóżka cierpiącego, z samotnej wiejskiej kaplicy, z murów miejskiego kościoła — płynie ona w świat z ust świętego, pokutnika, wielkiego duchem i z ust cichej, biednej matki. Modląc się, błogosławią oni świat. Ale my o tem nie wiemy. Bo słowami o tem przekonać nie można.

Dziś ludzie mało odczuwają rzeczy nadprzyrodzone. Wogóle jesteśmy zbyt mało chrześcijanami. Dla wielu chrześcijaństwo jest jakoby odświętną szatą, którą nakłada się tylko, idąc do kościoła — w dzień powszedni ją zdejmuje się i chowa. A przecież chodzi o to, byśmy byli chrześcijanami nietylko z imienia i w słowie, nietylko w niedziele i święta, ale by duch Chrystusa przeniknął całą naszą istotę, całe nasze życie, nasze czyny i prace codzienne. „Módlcie się każdego czasu" — rzekł apostół. To znaczy, cokolwiek robicie i myślicie — czyńcie to w imię Boże.

Dobry chrześcijanin czuje wprost wewnętrzną potrzebę polecenia Bogu od samego rana pracy całego dnia. Chwila skupienia wewnętrznego i powiedzenie Bogu: „Bez Ciebie nie potrafię nic — pomóż mi, Boże! Bez Ciebie jestem niewidząca — poprowadź mię, Boże! Bez Ciebie wszystkie moje wysiłki będą bezowocne — pobłogosław mi, Panie! Ty, o Boże, dałeś mi ten dzień, Tobie chcę go ofiarować. Wszystko, cokolwiek czynić dziś będę, do Ciebie ma należeć, bo kocham Cię i chcę być Twojem dzieckiem!" — Tak samo wieczorem złóżmy znowu Bogu owoce dnia; zdajmy Mu rachunek z tego, co uczyniłyśmy; podziękujmy za to, co nam się powiodło; prośmy o miłosierdzie i pobłażliwość dla popełnionych błędów i uchybień. Wtedy błogosławiony krąg otoczy każdy nasz dzień. Wszystko, co czynić będziemy od rana do wieczora, stanie się wówczas służbą Bożą, stanie się modlitwą.

Nie sądźcie, druchny, że konieczne są długie pacierze. Najkrótsza modlitwa ma wartość, jeśli tylko przeniknięta jest duchem pobożności, duchem nadprzyrodzonym, żywem poczuciem łączności z Bogiem. I jeśli tym duchem przepełnimy naszą modlitwę, na pewno będzie to dobra modlitwa. Dobrej modlitwy trzeba się nauczyć — wymaga to znowu pracy samowychowawczej i świadomego ćwiczenia. Błogosławiona to sztuka — sztuka dobrego modlenia się.

Jak ją posiąść? Pierwszym warunkiem prawdziwej modlitwy jest wewnętrzne skupienie. Nasze modlitwy dlatego są takie bezduszne i bezowocne, że nie potrafimy się skupić dostatecznie. Nasze dusze są podobne do zgiełkliwego gościńca, przepełnione ty-

siącem małostkowych ziemskich spraw, trosk i pragnień, które tłoczą się między nas i Boga. W takich warunkach modlitwa nasza może być nawet obrazą Boga. Aby się skupić, musimy oderwać się duszą od wszystkich spraw codziennych, otworzyć ją na sprawy dalekie od ziemi, by stała się podobna do wielkiej i jasnej sali królewskiej, oczekującej przybycia Pana. Całą swą postacią musimy wyrażać cześć dla Boskiego majestatu, z którym mamy rozmawiać. I jeszcze, nim zaczniemy się modlić, musimy uświadomić sobie jasno, że oto z Bogiem mówić będziemy. Że On jest nad nami i w nas — jest rzeczywiście! Wtedy rozbłysną swem niebiańskiem światłem sprawy Boskie, ujrzymy je takiemi, jakiemi są istotnie: wielkie, wieczne, najbardziej prawdziwe. W ich blasku zbledną i zatrą się sprawy ziemi, staną się małe, podrzędne, obojętne. Teraz dopiero zaczniemy swą rozmowę z Bogiem, rozmowę z najlepszym Ojcem, który może i chce odpowiedzieć na słowa do Niego zwrócone. Wielu słów Mu nie trzeba. Sam Chrystus przestrzega, by zbyt wielu słów w modlitwie nie używać. Długie pacierze stają się łatwo „klepaniem" słów, przy których dusza drzemie. Nie znaczy to wcale, żeby nie modlić się słowami ułożonych modlitw — wiele z nich uświęconych zostało przez błogosławione usta tysięcy pobożnych. Ale modlitwa nie może być tylko powtarzaniem słów pacierza. Musi w niej być cała dusza, serce czujące obecność Boga.

Można się też modlić bez słów. Nieraz najlepszą modlitwą jest takie milczące zatopienie się w rozważaniu wielkich, tajemniczych prawd wiary. Dusza wtedy w milczeniu pełnem uwielbienia korzy się przed nieskończoną wielkością Boga. I w takich chwilach ogląda samą siebie w świetle prawdy i praw Boskich. Widzi swe błędy, drogi, któremi dążyć powinna, dobro i zło swoje, słabość i siłę. I to poznanie siebie staje się pobudką do dalszych czynów i dążeń. Taką jest modlitwa rozważająca, rozmyślająca.

Duże usługi oddać nam może dobra książka do modlitwy i rozmyślań. Zachęca nas do rozmowy z Bogiem, prowadzi do Niego, pomaga skupić się i zagłębić w modlitwie. Niewszystkie jednak książki do nabożeństwa są dobre. Niektóre z nich pełne są jakiejś niezdrowej, przesadnej, mdłej bigoterji, która nic wspólnego nie ma z prawdziwą pobożnością. Niema w takiej modlitwie szczerości i prawdy.

Każdy z nas ma też inne usposobienie, inny sposób myślenia, dlatego niekażda, nawet dobra książka, będzie odpowiednia dla każdego. Jeśli książka ma być istotnie dla nas szkołą modlitwy, musimy ją sobie wybrać bardzo troskliwie. A jakże to się lekkomyślnie często załatwia! Przyznajcie, druhny, że niejednej wystarczy piękna oprawa i złocone brzegi. Nie zapominajcie też, że najlepsza nawet książka nie zastąpi nigdy modlitwy, która płynie do Boga prosto z duszy. Człowiek, który modli się tylko z książki i tylko wyuczonemi słowami pacierza, podobny jest do dziecka mówiącego swemu ojcu to tylko, co inni mu powiedzieli.

Mówiłam, że modlitwa jest rozmową z Bogiem. Tak, bo Bóg nam odpowiada. Jak się to dzieje? Trudno to opisać i powiedzieć. Ale Bóg mówi do naszej duszy, i tem wyraźniej głos Jego słyszymy, im bardziej pogrążymy duszę swą w modlitwie. Bóg nie mówi do nas słowami — Jego odpowiedź objawi się w działaniu. Oto wstajemy od modlitwy — i czujemy, że jasna stała się nam droga, którą iść należy, czy decyzja w ważnej sprawie; że nagle czujemy siły i pragnienie spełnienia jakiegoś dobrego czynu; znika gdzieś niechęć wykonania ciężkiego obowiązku. W czasie modlitwy serce poczuło się znowu lekkie i mocne; znikły cienie zasnuwające duszę; ucichły ból, i obawa, i zmartwienie, i troska. Czujemy się znów silne i dobre, radosne — i to wszystko jest odpowiedzią Boga na nasze wołanie, na wezwanie Go przez nas ku pomocy.

Niekiedy jednak Bóg zdaje się milczeć. Dusza nasza wpada w jakąś obojętność dla spraw Boskich, nic jej nie porusza, nie odczuwa żadnego wewnętrznego zadowolenia. Wydaje się wtedy, że Bóg jest nieskończenie od nas daleki. Nie mamy ochoty ani modlić się, ani pójść do kościoła, ani do spowiedzi. Może jednak w te właśnie godziny i dni Bóg czeka na naszą modlitwę. Może chce, żeby z tej oschłości naszej duszy wykwitła większa siła i czystsza myśl. Dlatego narazie oddali się od nas. Byłoby to fatalne dla naszego wewnętrznego życia, gdybyśmy się modlili tylko wtedy, gdy jesteśmy w odpowiednim „nastroju". A wielu ludzi tak postępuje. Modlitwa nie jest pogrążaniem się w nastrojach, w słodkich uczuciach, nie jest przyjemnością, lecz przedewszystkiem służbą Bożą, obowiązkiem, koniecznością i potrzebą duszy ludzkiej.

Bóg błogosławi nam zawsze, gdy modlimy się dobrze. Oczywiście niezawsze odrazu, niezawsze tak, jakbyśmy sobie życzyli. Bo też jesteśmy jak ślepi wędrowcy, którzy nie widzą, którą drogę oświeca słońce; jak niemądre dzieci, które wyciągają rękę po wszystko, co błyszczy, choćby śmierć się w tem kryła. Dlatego właśnie każdą swą modlitwę kończmy słowami: „Wszelako nie moja, ale Twoja wola niech się stanie". I w słowach tych niech się wyrazi zaufanie dziecka do mądrej miłości Ojca.

Dusza nasza, dążąc wciąż do doskonałości, dwiema drogami postępować powinna: w głąb i wzwyż. W głąb własnej istoty, własnych potrzeb i niemocy. Wzwyż aż ku tronowi Wszechmogącego, który jest wieczną miłością i wiecznem źródłem łaski. Dusza nasza musi wciąż budować most, który łączy głębię z wysokością. Dlatego dzień w dzień przy ołtarzach kościelnych brzmią słowa: Oremus — módlmy się! To głos Matki, która swe dzieci chce poprowadzić do Ojca.

Duch Święty, który w dzień Zielonych Świątek spłynął wśród ognia i szumu na struchlałą gromadkę uczniów, by uczynić ich apostołami ziemi, unosi się nad każdą duszą ludzką, pełen pobu-

dzającej, życiodajnej siły — i zawsze, ilekroć dosięgnie Go wierzące i korne wezwanie z ziemi, spływa ku wzywającej Go duszy, by zapalić w niej światło swej mądrości i wiedzy, by namaścić ją „siłą z wysokości".

Przyjdź, Duchu Święty, i napełnij serca Twych wiernych!

M. Niesiołowska.

Jak kochać dziecko?

(Wykład dla matek.)

Gdy niedawno temu oglądałam album z obrazami naszego sławnego malarza Grottgera, znalazłam wśród nich jeden z podpisem „Dwie matki". Oglądałam ten obraz bardzo długo, taki był piękny i wzruszający. Były na nim dwie matki: pierwsza piękna, wykwintna i bogato ubrana, z ślicznem jak aniołek dzieciątkiem w białej sukience; druga żebraczka, w łachmanach, najmłodsze nagie dziecię tuli do siebie, a dwoje starszych, także nawpół nagich, klęczy obok niej i patrzą to z trwogą, to z ciekawością na „panią". Żebraczka wyciąga rękę po jałmużnę, a dzieciątko w białej sukience ma właśnie zamiar włożyć w nią jakiś pieniądz. Widać, że mu mamusia tak kazała; zdaje się ona zachęcać je teraz, a w wyrazie jej twarzy maluje się głębokie współczucie. Ten wzrok, pełen litości, zdaje się mówić żebraczce: „Ja ciebie rozumiem i ja tobie z serca współczuję, bo i ja jestem przecież matką. A więc domyślam się, jak to boli patrzeć na głód i cierpienie dziecka. Choć losy nasze tak odmienne — my blisko siebie, my siostry, bośmy obie matki".

Macierzyństwo jest istotnie więzem, który bardzo silnie łączy kobiety najrozmaitszych stanów, obcych narodów, ba — nawet ras. Czy bogate, czy biedne, na wysokich stanowiskach, czy żyjące z ciężkiej pracy rąk — wszystkie przeżywały te same boleści i tę samą radość z powodu swego dziecka. Dlatego rozumieją się zwykle doskonale, nieomal bez słów: miłość macierzyńska to jakby promienie, wychodzące z jednego słońca.

Zastanowimy się dziś nad tą miłością.

Oto widzimy rozmaite zwierzęta, zaopatrzone w kły i pazury. Stwórca zaopatrzył je tak, by miały się czem bronić, by nie zginęły w walce o byt. Zając ma znowu bystry słuch i szybkie nogi, by się schronić przed napastnikiem; orzeł skrzydła potężne i pyszny wzrok, wąż truciznę i barwę ochronną, pszczoła żądło i t. d. Słowem, wszystko, co Pan Bóg stworzył, zaopatrzył w broń. Dziecię tylko rodzi się całkiem bezbronne. Jakże potrafi ono zostać przy życiu! Ale dobry Bóg nie zapomniał o niem. Dał mu ku obronie coś silniejszego niż wszystkie kły, pazury, żądła i jady. Stworzył bowiem w matce przepotężne uczucie, miłość

macierzyńską. Ta miłość daje matce siłę do najtrudniejszych rzeczy, do zupełnego zaparcia się siebie na rzecz dziecka.

Każdej więc, której Bóg dał dziecię, darował równocześnie tę miłość macierzyńską. Wyraża się ta miłość w gorącem pragnieniu, by dziecku było dobrze na świecie. Więcej pragniemy szczęścia dziecka aniżeli własnego. Mówię naturalnie o zwykłej, zdrowej, naturalnej miłości macierzyńskiej, a nie o tej zwyrodniałej, macoszej, którą także nieraz spotykamy. Mówię do matek, które chciałyby utorować dziecku swojemu drogę przez to ciężkie życie, chciałyby z tej drogi powyrywać ciernie i głogi, a jeżeli to się nie da, to przynajmniej nauczyć dziecię stąpać po tej ciernistej drodze. Chciałabym, żebyśmy matki wszystkie bardzo głęboko pojęły nasze zadanie i nauczyły się zapominać o sobie a pamiętać o szczęściu dziecka.

W najlepszych chęciach popełniamy jednak często wielkie błędy w wychowaniu naszych dzieci, bo nie zrozumiałyśmy dobrze, czego dziecku trzeba. Zastanowimy się więc wspólnie nad tem, do jakiego celu dążymy, wychowując dzieci nasze, i jakich środków chcemy użyć.

Nasamprzód zatrzymajmy się nad jedną bardzo ważną prawdą, której bardzo często nie widzimy i bez której nie możemy dzieła wychowania dobrze przeprowadzić.

Porównują nas często z ogrodniczkami. A dziecko to ten kwiat, który za naszem staraniem dochodzi do rozkwitu. W tem porównaniu jest dużo prawdy, lecz jedna rzecz jest odmienna. Kwiat hodujemy ku naszej radości, dla ozdoby naszego pokoju, i zerwany, kończy dla nas w wazonie swe życie. Dziecko zaś nie dla siebie chowamy. Nie jest ono naszą własnością, chociaż je Pan Bóg na pewien czas oddał pod naszą opiekę. Za swoją własność np. uważa dziecię ten, kto zmusza je do jakiegoś zawodu albo chowa je i stroi tak, aby zadośćuczynić swojej próżności. My zaś chcemy dziecko prawdziwie kochać, to znaczy, pragnąć jego szczęścia, przygotowywać je dla jego przeznaczenia. Ono nie jest naszą własnością i tylko przez krótki czas pozostaje pod naszą opieką. Po kilkunastu latach opuści ono nas, nie będziemy mu już potrzebne, zachowa ono dla nas tylko wdzięczną miłość lub żal, zależnie od tego, na cośmy zasłużyły. — B ó g dał nam dziecię. Przecież pamiętamy wszystkie doskonale tę chwilę, kiedy po raz pierwszy poczułyśmy z wielką trwogą i wielkiem zdziwieniem, że Bóg powołał nas do macierzyństwa. Potem, po ciężkich godzinach ujrzałyśmy obok siebie dzieciątko i w długich samotnych godzinach stawiałyśmy sobie pytanie, na które niema odpowiedzi. Skąd ono jest, poco Bóg mi je dał, takie to wszystko dziwne, cudowne — Bóg ukrył przed nami Swoje największe cele, nam zostawił tylko przeczucie i wiarę, że powołał nas na pomocnice swoje w Swem wielkiem dziele. Równocześnie z dziecięciem darował nam tę świętą miłość macierzyńską jako drogowskaz, jako osłodę wszyst-

kich ciężkich chwil macierzyństwa. Dziecię nie jest naszą własnością, ale własnością Boga i dla Niego chowamy je.

Wychowywać dziecię to znaczy pomagać mu przejść przez to ciężkie życie doczesne i znaleźć drogę do nieba.

Jak tu pomagać?

Oto dziecko ma ciało, ma umysł i ma duszę. Na ciało więc, na umysł i na duszę powinnyśmy wpływać. Najważniejsza rzecz to dusza. Ale ciało to niejako pomocnik duszy, narzędzie duszy. Musimy dziecko wychować tak, żeby umiało po kilkunastu latach samo radzić sobie. Wszak ptaki uczą swoje młode fruwania; a gdy tylko nauczyły je, to już wypuszczają z gniazda, bo małe umieją same znaleźć pożywienie. Tak i my chcemy dzieci wychowywać do samodzielności.

A więc pomyślimy o ciele dziecka! W niemowlęctwie jest z tem najwięcej kłopotu, później znacznie mniej. Ciało trzeba odżywiać, odziewać, utrzymywać w czystości. Co do odżywiania, to pamiętajmy, jak wielkim jest obowiązek karmienia dziecka własną piersią, o ile tylko zdrowie i warunki pozwalają. Zdrowie i siły, które z matczynego pokarmu dziecku płyną, to skarb na całe życie. Do dwóch lat powinno dziecko jadać mleko, jarzyny, owoce, kleiki, mączne potrawy i niezbyt wiele jaj, a unikać zupełnie mięsa. Po dwóch latach dopiero może jeść to, co jadają dorośli. Stanowczo powinny być pory jedzenia regularne, potrawy proste, zdrowe, pożywne. Unikać trzeba łakoci i ostrych, pieprznych dań, które tylko żołądek i zęby psują. Zamiast cukierków zawsze rozumniej dawać owoce. Rychło powinno dziecko zrozumieć, że nie żyjemy poto, żeby jeść, ale jadamy poto, żeby żyć. Wzbraniajmy używania alkoholu. On to sprawia często, że dziecko się źle uczy, staje się chorowite, a straszna to rzecz, jeżeli dziecko przyzwyczai się doń i później wpada w ten nałóg, który tyle łez wyciska... Ubierać trzeba dziecko czysto, lecz skromnie i praktycznie. Nie zapomnę nigdy o małej koleżance naszych zabaw dziecięcych, która zawsze smutnie i tęsknie spoglądała na nas, którzy wchodziliśmy na drzewa, bawili się z psem i budowali cuda z piasku, podczas gdy ona, ustrojona w białe krochmalone sukienki i fartuszki oraz wykwintnie z cieniutkiej skóry buciki, nie śmiała się ruszyć, bo matka się strasznie gniewała o każdą plamę. Cóż to za lalka musiała wyrosnąć z dziecka, tej biednej ofiary matczynej prożności.

Bardzo to ważna rzecz przyzwyczajać dziecko do czystości ciała. Pewno, że trudno skłonić do tego nasze małe wisusy, żeby codziennie uszy myli i szyję, trudno zwłaszcza wtedy, jeżeli tych wisusów jest dużo w domu; a jednak powinny dzieci codziennie przed snem myć się gruntownie, a przed każdem jedzeniem umyć ręce i przygładzić włosy. Nie mówię już o tem, jak to brzydko i jaki wstyd dla matki, jeżeli dzieci brudne i zaniedbane, ale ta czystość ciała wpływa niewątpliwie na wewnętrzną czystość duszy. Trzeba hartować dziecko, przyzwyczajając do mycia

zimną wodą, do niezbyt ciepłej odzieży, do spania przy otwartem oknie, do posłania dość twardego, do jednej tylko poduszki i do koca czy kołdry jako pokrycia. Trzeba wysyłać je dużo na powietrze, pozwolić na dużo ruchu, nie łajać, jeżeli jest bardzo żywe.

Umysł dziecka rozwijają przedewszystkiem w szkole. A dom pomaga. Toć matka powinna być pierwszą nauczycielką. Takie maleństwo zaczyna się bardzo wcześnie pytać: a co to, a czemu? Trzeba odpowiadać cierpliwie, rozumnie, miłośnie, a nie fukać, nie zbywać byle czem, choć to nieraz trudno, bo dziecko potrafi się uprzykrzyć umęczonej matce. Wielką krzywdę wyrządzamy dziecku, jeżeli zbyt wcześnie uczymy wierszyków, piosenek i rozmaitych sztuczek. To tak przyjemnie pokazywać znajomym i krewnym, jakie nasze dziecko mądre, ale to dziecku bardzo źle robi. Przemęcza się młody umysł i takie „cudowne dziecko" bywa zwykle później bardzo miernym uczniem. Prócz tego psuje takie popisywanie się prostotę i swobodę dziecięcą, która jest największym wdziękiem i wytwarza w dziecku próżność. Gdy zaczyna ono chodzić do szkoły, powinniśmy ze szkołą współpracować. Trzeba wstawać wczas, by dziecko wyszło z domu porządnie ubrane, umyte, najedzone i zaopatrzone w śniadanie. Jakże często zdarza się, że dziecko przychodzi do szkoły zadyszane, niemyte, głodne, bo „mama posłała rano po mleko", bo „mama za późno obudziła". Czyż takie dziecko może uważać dobrze na pierwszej lekcji, z tem pukającem niespokojnie od pośpiechu serduszkiem, z tą główką, w której jest zamęt i niepokój i brak zupełnie skupienia i z głodnym żołądkiem „bo mama nie zdążyła dać śniadania". A gdy nauczyciel lub nauczycielka się tak często gniewa za nieuwagę i odpowiedzi, to wreszcie odchodzi wszelka ochota do szkoły. Po południu znowu trzeba dać dziecku sposobność odrobienia lekcji, zapewnić spokój, dać czysty stół, atrament, nie gniewać się, że znowu potrzebny zeszyt czy książka. Dowiadywać się, jak poszło w szkole, cieszyć się z postępów, chwalić, zachęcać, porozumiewać się z nauczycielem i t. d. Gdy dziecko wreszcie ukończyło szkołę, trzeba pomyśleć o jego zawodzie. Gdy tylko nam środki pozwolą, dać trzeba mu fachowe wykształcenie, odpowiadające jego ochocie i zdolnościom. Dziś płacą bardzo źle za robotę niefachową, jeżeli więc dziecka nie wykształcimy w którymkolwiek zawodzie, narażamy je na to, że będzie często pracowało za bardzo małe pieniądze i nie będzie miało zadowolenia z pracy. Nieraz wybierają rodzice sami dziecku zawód, nie pytając się o jego zamiłowania. Tu zwłaszcza trzeba pamiętać o tem, że ono nie jest naszą własnością, że o jego przyszłem szczęściu trzeba pamiętać, a nie o naszem zadowoleniu i o naszej próżności.

Dochodzimy wreszcie do najważniejszej części życia ludzkiego, do życia duszy. Dusza jedynie przetrwa byt doczesny i ma kiedyś wrócić do Ojca niebieskiego, albo będzie w otchłań strącona. My matki mamy wprost straszną odpowiedzialność!

Łaska Boża wprawdzie i bez nas dosięga dziecka, ale my możemy bardzo opóźnić lub utrudnić to działanie łaski. Czeka nas święta praca. Mamy nauczyć dziecko patrzeć myślącemi oczyma i czującem sercem na świat. W cudach wiosny czy gwiazd nauczyć je widzieć ślady Boga. We własnem sercu odnaleźć tęsknotę za Bogiem. W modlitwie nauczyć je rozmowy ze Stwórcą. Od najpierwszej młodości kreślimy nad jego łóżeczkiem znak krzyża. Później składamy mu do pacierza drobne rączęta. Potem wskazujemy, czem Bóg się brzydzi, smuci, a czem się raduje. Uczymy ufać Panu Jezusowi i naśladować Go. Kochać Pannę Najświętszą; zabieramy je na mszę świętą i na śliczne nabożeństwa majowe, różańcowe, gorzkie żale... A gdy nadejdzie ważna chwila pierwszej spowiedzi i komunji świętej, znajdzie ono nas znowu obok siebie. W oczach naszych wyczyta, że dzielimy jego radość, że rozumiemy jego święte wzruszenie. Czuwamy nad książkami, które dziecko czyta, nad przyjaciółmi, których dobiera, jesteśmy jak te ogrodniczki, które podlewają i prostują kwiat, by rósł prosto w górę, do słońca, do Boga...

Tak poruszyłyśmy krótko główne zadania matki wobec jej dziecka. Trzeba szeregu dalszych pogadanek, by się głębiej nad niemi zastanowić. Mówiłyśmy głównie o tem, co zrobić, żeby dziecku było teraz i później dobrze. Pozostaje pomyśleć nad tem, jak to zrobić.

Bardzo często uważa się niestety za główne środki wychowania uderzenie, szturchańce, gniewne słowa, wyzwiska. Tem wszystkiem osiągamy może w najlepszym wypadku to, że nas dziecko chwilowo usłucha z bojaźni albo że następny raz będzie się bardzo starało, żebyśmy nie dowiedziały się, co zrobiło, bo z matką niema żartów. Ale to nie doprowadza do tego, żeby dziecko kiedyś samo ze siebie było dobre. A chodzi głównie o to, żeby obudzić w dziecku dobrą wolę. Pewno, że i z uderzenia często nie można zrezygnować. Klapsa trzeba zwłaszcza małemu dziecku, które przecież naszych słów jeszcze nie zrozumie i któremu klaps znaczy tyle, co: „tak nie wolno!“ Uderzyć trzeba nieraz także dużego już chłopca, ale zawsze tak, żeby wiedział, że to kara zasłużona, dana z miłości, a nie ze złości. Najlepszy jednak sposób to dobry przykład. Jeżeli matka sama brudna, nieporządna, to skądże ma być dziecko inne! Jeżeli matka sama dla babci często taka przykra, brutalna, to skądże ma ono mieć uszanowanie dla matki? Jeżeli matka tak często ojcu kłamie, to skądże ma ono nauczyć się prawdomówności? Na nic pouczenia, jeżeli dobrego przykładu brak. Ale obok dobrego przykładu ma słowo wielkie znaczenie. Dobra matka ma wpływ na swoje dzieci, a nieraz niepotrzebnie uderzamy lub łajemy tam, gdzie wystarczyłoby upomnienie, pouczenie, serdeczna rozmowa z dzieckiem. Nigdy jednak nie można uderzać dziecka w twarz, bo taka kara poniża, bo zabija w dziecku poczucie godności. Nie należy także uderzać dziewczęcia, bo ono powinno mieć świado-

mość nienaruszalności swego ciała. Cielesne kary łatwo stępiają ambicję w dziecku, więc lepszą karą jest odmówienie jakiejkolwiek przyjemności. Pamiętajmy jednakże także o nagrodach. Za dobre świadectwo można obiecać wycieczkę. „Mama mówiła, że jeżeli przez cały tydzień będę mył uszy, pójdę do zoologicznego ogrodu" — powierzył pewien malec starszej siostrze, a z pewnością nie opuścił tego mycia ani razu, a przez tydzień przyzwyczaił się doń tak, że i później już bez upomnienia je mył. Uśmiech matki, radość matki z powodu jakiegoś dobrego zachowania się budzi w dziecku ochotę do dobrego; a wzbudzenie tej ochoty, to rzecz główna.

Pozostaje jeszcze jeden niewątpliwy środek dla matki wierzącej: modlitwa. Wieczorem i rano poleca swoją trzódkę opiece Bożej, a gdy które z dzieci trudne do prowadzenia, gdy daje powód do obawy na przyszłość — z modlitwy czerpiemy natchnienia.

Wychowanie dziecka zaczyna się bardzo wcześnie, bo zaczyna się od wychowania nas samych. Im lepsze my będziemy, tem bardziej ułatwiamy dziecku drogę do szlachetności, albo nawet świętości. Ale w każdym razie zaczyna się wychowanie dziecka już przed jego urodzeniem. Jest wśród ludzi takie wierzenie — zapewne słuszne — że dobre i złe myśli matki zstępują do dziecięcia, które się pod jej sercem kształtuje. Kończy się nasze wychowanie wtenczas, gdy dziecko doroslo.

Daj nam Boże dobrze spełnić swoje powołanie, dobrze zrozumieć Bożą myśl, bo

„biada temu, który jedno z tych maluczkich zgorszy..."

W. Sobkowiak.

Młody Polak — apostołem.

Ludzi dzisiejszych cechuje zniechęcenie, brak ufności w przyszłość i siły swoje oraz bierność czyli zdanie się na łaskę losu, na łaskę niewiadomego jutra. Te cechy rodzą się po największej części z braku głębokiej wiary, z braku prawdziwej miłości Boga i bliźniego. Człowiek silny i prawdziwie wierzący nie wątpi o zwycięstwie dobrej sprawy. Człowiek, który prawdziwie kocha, rwie się do czynu, do dobra, piękna i prawdy. Ufność zaś w Opatrzność Bożą nie pozwoli mu nigdy załamać się, zwątpić.

Nas, jak zawsze młodych, cechuje zapał do czynu. Trzeba tylko, żeby ten zapał należycie wyzyskać i w należytym kierunku skierować. My młodzi nie możemy patrzeć obojętnie na to, co wokoło nas się dzieje. Jeżeli widzimy, że źle się dzieje na świecie, jeżeli słyszymy, że młodzież opanowują różne prądy socjalistyczne i niemoralne, jeżeli inni się tem nie przejmują i zła tego nie rozumieją, to nam nie wolno nie widzieć tego i nie chcieć

tego naprawić. Przypominają się tutaj słowa Kaina, który na pytanie Boga: „Kainie, coś zrobił z bratem twoim Ablem“ — odrzekł: „Nie wiem, co się z nim stało, czyż jestem stróżem jego?“ Więcej jeszcze niż nieprzyjaciele, szkodzą religii naszej i Kościołowi — katolicy obojętni, niedbali. Młody Polak, członek Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, musi wszędzie i zawsze stać na straży dobra i prawdy, musi być apostołem tych pięknych zasad, wiary, miłości i czynu, któremi się w swem własnem życiu kieruje. Nie wystarczy, by sam czynił dobrze i by dobrze żył. Musi on walczyć ze złem, szerzyć te wzniosłe swoje hasła i wnosić do swojego otoczenia ducha apostolstwa, czy to w życiu rodzinnem czy zawodowem, publicznem czy też towarzyskiem.

Najbliższą każdemu z nas jest z pewnością rodzina. Już choćby w jej ciasnem kółku może młodzieniec spełniać rolę apostolską. Wobec rodziców winien być wzorowym, dobrym synem, Rozumiejąc trudy i starania, jakie rodzice włożyli w jego wychowanie i wykształcenie, winien oddać im należyty szacunek, cześć i wdzięczność. Nigdy też nie zasmuci ich czoła nieposłuszeństwem i niegrzecznem słowem lub postępkiem. Przecież któżby lepiej rozumiał potrzeby nasze, jeżeli nie rodzice. Przyjmujmy więc wdzięcznie zawsze ich rady i wskazówki, a z pewnością na pożytek nam zawsze wyjdą. Bardzo piękna rola przypada w udziale młodzieńcowi, jeżeli ma rodzeństwo. Wtedy to może dobrym przykładem swym, wzorowem prowadzeniem się uczyć braci i siostry swe. Nigdy też nie będzie młodszych od siebie poniżał, lekceważył, a starszym dokuczał. Tutaj nasuwa się pamięci piękna opowieść, którą każdy może przeczytać sobie w prześlicznej książce pisarza włoskiego Amicisa pod tytułem „Serce“. Chłopiec pewien przychodził do szkoły z poplamionym, polanym atramentem zeszytem i podartą książką. Niechlubnie to świadczyło o jego porządku. Czasem nawet nie odrobił zadanych lekcyj — znosił przycinki kolegów i nagany nauczycieli, ale się nigdy nie poprawiał i nie wyjawiał nigdy powodów swego niedbalstwa. Okazało się, że ojciec jego był nałogowym pijakiem. Przychodząc do domu nietrzeźwy, bił syna swego, nie pozwalał mu uczyć się, rzucał książki. Biedny chłopiec nigdy nie skarżył się na to, że ojciec go tak krzywdzi, lecz cierpliwie znosił doznane przykrości. Milsze mu było dobre imię ojca niż własne. Tak mógł postąpić, jeżeli prawdziwie kochał i szanował rodziców swoich. Dobrem, wzorowem życiem szlachetny syn nie dopuści do niezgody i nieporozumień w rodzinie swojej.

Większą część dnia spędzamy przy pracy w warsztacie, fabryce, czy biurze. Jak często już zdarzało się nam słyszeć rozmowy i żarty nieprzyzwoite — nieskromne. Niejeden raz narażeni jesteśmy na pokusy, namawianie przez kolegów do niegodnych, nielicujących z naszem imieniem młodego Polaka, zabaw. Nieraz zdarza się, że ktoś wyśmiewa się z naszych przekonań religijnych, z naszych zasad. Ile tutaj sposobności do spełnienia

apostolstwa wśród współpracowników. Nie wolno nam pozwalać w naszej obecności szydzić z religji, nie wolno nieprzyzwoicie się zachowywać lub mówić. Śmiało trzeba wystąpić, odważnie skarcić i zawstydzić złych, a za to przykładem dobrym zjednać ich dla siebie. Nic tak nie zjednuje przyjaciół, nic tak nie pociąga za sobą, jak dobry przykład. Nietylko nie dać się namówić do złego, ale przeciwnie, nawrócić, przekonać błądzących i skierować do dobrego — oto szczytne zadanie nasze.

Praca apostolska wymaga jednocześnie pracy nad sobą. Uczą nas rozmaitych cnót, cierpliwości, pokory i męstwa. Przecież wiele czasem trzeba odwagi i pokory, by samemu wobec gromady całej wystąpić z ostrem słowem nagany i narazić się na śmiech i szyderstwo. Kto jednak prawdziwie miłuje bliźniego swego, ten wszystko zniesie cierpliwie w imię dobrej sprawy, w imię Chrystusa.

W zawodzie, w pracy swej młody Polak musi być sumiennym i gorliwym. Powierzoną sobie robotę musi jak najlepiej, jak najakuratniej wykonać. Dużo bardzo znaczy punktualność wykonania, punktualne wykonanie przyjętych na siebie obowiązków. Pod względem obowiązkowości i sumienności młody Polak musi być wzorem dla wszystkich innych współpracowników swoich, niegodnym byłby zaszczytnego swego imienia, gdyby pod tym względem przewinił. Przypatrzmy się, ile czasem szkody może zrobić nieobowiązkowość. Na torze kolejowym urzędnik, zwany zwrotnikiem, przez niedbalstwo, opieszałość, spóźnił się o kilka, bodaj jedną zaledwie minutę i nie przestawił w czas odpowiednich zwrotnic. Pociąg, pędzący z wielką szybkością, wjeżdża na tor niewłaściwy, po którym w przeciwną stronę zdąża inny pociąg, pełen podróżnych. W pewnej chwili, nie wiedząc o niedbalstwie zwrotniczego, maszynista zauważa, że nie jest na właściwym torze, lecz oto za późno już zatrzymać pociąg. Z za zakrętu, pełną parą pędzi drugi pociąg i dzieje się okropne, nieprzewidziane nieszczęście. Setki ofiar zginąć mogą przez małe tylko spóźnienie się, przez drobną tylko opieszałość jednego człowieka. Niech więc praca nasza zawsze będzie wykonana tak, abyśmy sami z niej zadowoleni byli, sumiennie, akuratnie, punktualnie.

Dużo sposobności do wyrobienia w sobie ducha apostolskiego daje stowarzyszenie, do którego należymy. Każdy członek jego, młody Polak, musi przedewszystkiem wiedzieć, jakie są jego zadania, jakie hasła, które mu stawia stowarzyszenie. Skoro to zrozumie i uświadomi sobie, nie starczy, by sam tylko według nich żył. Młody Polak musi się starać, by te zasady jego na innych także oddziaływały. Ile to młodzieży jeszcze jest, co błąka się bez celu po złej drodze albo złym wpływom ulega. Każdy z nas powołany jest by nawrócić takiego, wskazać mu, że ideałem w życiu młodzieńca ma być praca nad samym sobą, nad charakterem

swoim i praca dla innych. Od tego, jak w sobie wyrobimy ducha apostolskiego, zależy w wielkim stopniu rozwój naszego Stowarzyszenia. Ciągle starajmy się pozyskać nowych młodzieńców pod sztandar nasz, dla haseł naszych, „dla Boga i Ojczyzny".

Zanim jednak zdołamy oddziaływać na innych, musimy w sobie wyrobić te cechy, które czynią z nas dobrych członków. Znowu na pierwszem miejscu trzeba postawić obowiązkowość i punktualność w przychodzeniu na zbiórki i zebrania. Praca organizacyjna, przemawianie w dyskusji, wyrabia w nas odwagę i pewność siebie, ćwiczenia fizyczne dają nam zdrowie i siły do wytrwania, a przytem kształcą w nas cierpliwość i siłę woli. Przez należyte wypełnianie obowiązków członkowskich i korzystanie z wszystkich urządzeń organizacyjnych wyrabiamy się do pracy apostolskiej, pracy dla innych i wśród innych.

Stowarzyszenie ma wyrobić w nas poczucie społeczne i świadomość obywatelską. Ma uczyć nas miłości Ojczyzny, miłości tego, co polskie. Winniśmy się szczycić tem, że jesteśmy właśnie Polakami. To wysokie poczucie mają Anglicy. Każdy Anglik jest apostołem swej ojczyzny, dzięki temu, że ma głęboką świadomość jej potęgi i siły. A u nas, jak często się niestety słyszy np. słowa: „Za Niemca lepiej było".

Oto pole pracy apostolskiej dla Młodego Polaka. Najpierw wykształcić musi on w sobie przywiązanie i poczucie przynależności do narodu naszego, ukochanie wszystkiego, co polskie, a później szerzyć to uświadomienie wśród innych, którzy go nie mają. Młody Polak nie pozwoli innym narzekać, lecz będzie dodawał słowa zachęty i budził ducha miłości Ojczyzny.

Piękny przykład młodzieńca polskiego dał Henryk Sienkiewicz w „Pustyni i puszczy". Bohater powieści tej, Stanisław Tarkowski, znosi bardzo wiele trudów, przechodzi ciężkie koleje i przeżycia, by wydostać się z niewoli u zbuntowanych Arabów w Afryce. Zawsze jednak pełen męstwa i zaufania we własne siły, nie zniechęca się i nie załamuje, lecz doprowadza do celu, odzyskuje wolność. Przy wszystkich jego czynach przyświeca mu myśl o Polsce. Prawdziwe będą wykute przez niego na skale słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła", jeżeli każdy z nas będzie w sobie nosił losy Ojczyzny, tak jak on.

Chrystus rzekł: „Ktoby zgorszył jedno z tych maluczkich, lepiejby mu było, aby mu uwieszono kamień młyński u szyi i zatopiono w głębokościach morza." Istotnie, największy grzech to grzech cudzy. Dlatego pochwały godzien jest ten, kto przykładem dobrym pociąga za sobą innych, kto zawsze czyni dobrze.

Choć dawno już minęła wojna światowa i bolszewicka, to ludzie jakoby żyli jeszcze w stanie wojennym. Nie ustają osobiste zawiści, nienawiść między stanami, oszczerstwa i kłamstwa. My młodzi, owiani serdeczną miłością bliźniego, dołóżmy wszel-

kich sił, by zapanowała we wszystkich dziedzinach życia zgoda, sprawiedliwość i miłość. Spełniajmy apostolstwo nasze, wnosząc do życia prywatnego i publicznego ducha pokoju, a spotka nas nagroda, którą Chrystus przyrzekł słowami: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni synami Bożymi nazwani będą.“

Wszystko i wszystkich odnowić w Chrystusie — to nasz cel.

Międzynarodowe organizacje młodzieży.

Pęd do umiędzynarodowienia akcji organizacyjnej ogarnął także ruch młodzieży. Stworzył on cztery międzynarodówki młodzieży, harcerską, katolicką, socjalistyczną i komunistyczną. Najsilniejszą jest liczbowo międzynarodówka harcerska, która w samych krajach anglosaskich obejmuje około 2.000.000 harcerzy i harcerek; harcerstwo niemieckie stoi dotychczas poza nią. Na drugiem miejscu pod względem liczebności członków jest międzynarodówka katolickiej młodzieży, która dochodzi do liczby 3.000.000 członków. Pierwszy międzynarodowy kongres młodzieży katolickiej odbył się w r. 1921 w Rzymie z udziałem 85 przedstawicieli 26 państw. Drugi kongres zwołany do Lourdes w r. 1927 został jednak odwołany. Stolica św. jest też z względów zasadniczych przeciwną ścisłej międzynarodowej organizacji młodzieży katolickiej. Socjalistyczna międzynarodówka młodzieży liczyła pod koniec r 1925 około 200.000 członków. Komunistyczna zaś międzynarodówka opiera się głównie na organizacjach młodzieży komunistycznej w Rosji bolszewickiej, które skupiają około 1.500.000 młodzieży.

Akcja socjalistyczna wśród dzieci i młodzieży.

W ostatnich latach zwracają socjaliści bardzo wiele uwagi na pracę wśród dzieci i młodzieży. Ruch ten zapoczątkowali głównie socjaliści austrjaccy, stwarzając organizację t. zw. przyjaciół dziecka (Kinderfreundebewegung). I przyznać trzeba, że prowadzą oni tę akcję z wielkim nakładem poświęcenia, sił, czasu, pieniędzy i pomysłowości. Udało im się powołać do życia dzieła, które budzą podziw nawet u przeciwnika. To też niezmierne są szkody, jakie ta akcja przynosi katolicyzmowi. Dziesiątki tysięcy dzieci przepadają w ten sposób Kościołowi. Jak to jest zupełnie naturalne, przeniósł się ten ruch także do Niemiec. Za przykładem swych towarzyszy austrjackich rozpoczęli i socjaliści niemieccy zakładać grupy przyjaciół dziecka. Pod koniec zeszłego roku mieli oni już tych grup około 600. Pismo socjalistyczne dla dzieci „Der Kinderfreund" wychodzi w nakładzie 300.000 egzemplarzy miesięcznie i bywa dołączane jako dodatek do 20 dzienników. Lecz nietylko w Niemczech naśladuje się socjalistów

austrjackich w ich usiłowaniach zatrucia już duszy dziecięcej jadem socjalizmu. W całej Europie ma istnieć około 2.000 grup „przyjaciół dziecka". Jest to może najniebezpieczniejsza robota socjalistyczna obecnie.

Przesilenie w Związku Młodzieży Wiejskiej.

Konflikt między Centralnym Związkiem Kółek Rolniczych a Centralnym Związkiem Młodzieży Wiejskiej zostanie, zdaje się, w najbliższym czasie załagodzony. Ruchliwemu Zarządowi Z. M. W. udało się pozyskać dla siebie większość Głównego Zarządu C. Z. K. R. W dniu 13 kwietnia odbyło się zebranie Głównego Zarządu C. Z. K. R., poświęcone sprawie tego konfliktu. Na zebraniu tem opowiedziała się znaczna większość — na dwudziestu i kilku członków tylko trzech było zdania przeciwnego — za Zarządem C. Z. M. W. i domagała się cofnięcia wszelkich represyj wobec tegoż, powołania komisji do ułożenia warunków współpracy obu organizacyj i zaniechania prac równoległych do prowadzonych przez C. Z. M. W. Wniosków tych wprawdzie nie przegłosowano z powodu opuszczenia przez część członków Zarządu zebrania, lecz prezes C. Z. K. R., widząc w stanowisku Zarządu naganę na siebie, podał się jeszcze na tem zebraniu do dymisji. W wyniku dalszym tego zebrania odbyła się w dniu 22 kwietnia konferencja prezesów Wojewódzkich Związków Kółek Rolniczych i prezesów Wojewódzkich Związków Młodzieży Wiejskiej, która wypowiedziała się za spiesznem zlikwidowaniem zatargu, usamodzielnieniem Z. M. W. i oparciem wspólności organizacyjnej obu organizacyj na nowych podstawach. Następnego dnia obradował Zarząd Z. K. R. i postanowił cofnąć wszelkie zarządzenia, skierowane przeciw władzom C. Z. M. W., przekazać zpowrotem C. Z. M. W. tygodnik „Siew", poprzeć dążenia C. Z. M. W. do jak najszerszej samodzielności i utworzyć osobną komisję z 10 osób, do której ma wejść po 5 przedstawicieli C. Z. M. W. i C. Z. K. R., celem przeprowadzenia tych uchwał.

Radjo robotnicze.

Amerykańskie związki zawodowe otworzyły w r. 1926 w Chicago, w myśl uchwały walnego zgromadzenia delegatów, robotniczą stację nadawczą. Dla sfinansowania tego przedsiębiorstwa obłożono każdą lokalną organizację podatkiem w wysokości 2 dol. od członka, płatnych w 2 latach. Wszystkie koszty budowy i urządzenia wyniosły na skutek specjalnej organizacji pracy tylko niespełna 50.000 dol. Zasięg tej stacji, nadającej na fali 491,5, wynosi 500 mil. Poza zwykłym programem stacyj nadawczych, ma ona być „głosem pracy" ma mianowicie przynosić rzeczy specjalnie interesujące robotnika zorganizowanego oraz pozyskiwać robotnika, idącego luzem, dla organizacji. Ma więc na oku cele oświatowe i propagandystyczne. Co wieczór od godz. 6—7 rozsyła

ona wiadomości dotyczące pracy i urządza wykłady dla robotników i ich rodzin. Dla żon robotniczych wygłasza się też specjalne wykłady z dziedziny gospodarstwa domowego. Doświadczenia, poczynione z tem radjo robotniczem, dały tak dobre wyniki, że obecnie projektuje się budowę kilku dalszych robotniczych stacyj nadawczych.

Sąd Najwyższy przeciw zwalnianiu za strajk.

Bardzo ważny dla świata pracy wyrok wydał Sąd Najwyższy w dniu 9 lutego r. b. Wyrok ten umożliwia bowiem pracownikom skuteczną obronę przeciw represjom za strajk z strony pracodawców. Rozchodziło się mianowicie o sprawę kilku robotników elektrowni w Pruszkowie, wydalonych z pracy za zorganizowanie strajku. Wydaleni odwołali się do sądu z żądaniem odszkodowania w wysokości trzymiesięcznej pensji, powołując się na umowę służbową, przewidującą trzymiesięczny termin wypowiedzenia. Sąd okręgowy odrzucił ich skargę. Sąd apelacyjny jednak przyznał im słuszność. W motywowaniu wyroku podniósł on, że płace w odnośnej elektrowni były szczególnie niskie, niższe niż w innych przedsiębiorstwach tego rodzaju i że wszelkie próby pracowników osiągnięcia podwyżki płac bez strajku nie doprowadziły do skutku. W takich warunkach nie może strajk uchodzić za zerwanie kontraktu. Fakt zorganizowania strajku nie może być przyczyną przedterminowego zwolnienia, gdyż prawo koalicyjne robotnika obejmuje także prawo wyboru delegatów upoważnionych do kierowania całym ruchem zarobkowym. Wobec tego nie miał zarząd elektrowni prawa do przedwczesnego zwolnienia organizatorów strajku i winien wypłacić żądane odszkodowanie. Sprawa to oparła się ostatecznie o Sąd Najwyższy, który wyrok instancji poprzedniej w całości potwierdził.

Rozwój katolickiego ruchu robotniczego w Belgji.

Katolicki ruch robotniczy w Belgji rozwija się coraz lepiej. Zawdzięcza on ten rozwój szczególnie swej celowej organizacji. Stanowi on bowiem t. zw. „organisation complète“ t. j. organiczną całość, skupiając wszystkie zrzeszenia robotnicze jak stowarzyszenia oświatowe, związki zawodowe, kasy wzajemnej pomocy, stowarzyszenia spożywców, banki robotnicze itp. w jednej ogólnej organizacji robotniczej. Poszczególne zrzeszenia robotnicze posiadają zupełną autonomję. W dniach 29 i 30 października r. u. odbył się w Brukseli VI Kongres roczny tej Federacji katolickich organizacyj robotniczych. Z sprawozdania, złożonego na tym kongresie wynika, że z początkiem roku 1927 wynosiła liczba wszystkich członków Federacji 165.582. W organizacjach kobiecych, które wchodzą w skład Federacji, było 85.000 członków. Liczba członków katolickich związków zawodowych wzrosła

o 28.512. Robotnicze stowarzyszenia spożywcze miały w r. 1926 obrót w wysokości 52.000.000 fr. Kasa oszczędności katolickich robotników miała wkładów 9.534.000 fr. Gdy więc socjalistyczne oragnizacje wykazują znaczny odpływ członków, wzmacnia się katolicki ruch robotniczy bardzo poważnie także pod względem liczby swych członków. Wyniki te osiągnął on mimo niezwykle trudnej walki z socjalistami, którzy posiadają w Belgji bardzo potężną i zwartą oraz finansowo silną organizację, i mimo nieprzyjaznego stanowiska katolickich kół konserwatywnych.

Socjalistyczne kursy dla sędziów przysięgłych i cywilnych ławników sądowych.

O wielkiej pomysłowości i przedsiębiorczości socjalistów świadczy nowa impreza socjalistów wiedeńskich: szkoły wzgl. kursy dla sędziów przysięgłych i cywilnych ławników sądowych. Jest to wysiłek poddania także wymiaru sprawiedliwości pod jarzmo socjalistyczne. Kursy te miały w swym zaczątku bardzo konkretny praktyczny cel: uchronienie winnych zaburzeń z dnia 15 lipca 1927 przed karzącą ręką sprawiedliwości. Początkowo próbowali socjaliści austrjaccy w wszelki możliwy sposób wpłynąć na sędziów zawodowych w duchu korzystnym dla tych winowajców. Gdy to się nie udało, wpadli na pomysł utworzenia kursów dla sędziów przysięgłych i cywilnych ławników sądowych, by tą drogą przeprowadzić uwolnienie oskarżonych. Przedsięwzięcie to miało już zgóry o tyle widoki powodzenia, że układanie list sędziów przysięgłych i cywilnych ławników jest zupełnie w rękach czerwonego magistratu wiedeńskiego. Powstało więc w samym Wiedniu aż 15 takich szkół o kursach, trwających dwa i pół miesiąca. Praca ta wydała też pożądane rezultaty. Wszystkie rozprawy o zaburzenia lipcowe przed sądami przysięgłemi zakończyły się, mimo przyznania się oskarżonych do czynnego udziału w tych zaburzeniach, wyrokiem uwalniającym.